

Czapski, Michał

Wspomnienia z Gimnazjum Zana (1930-1934)

Przegląd Pruszkowski nr 1, 49-54

1983

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

zostałem pełnomocnikiem Rządu w sprawach neuropsychiatrii na przemianowanych przez nasze wojska i ustanawiane władze Ziemiach Zachodnich. Już w pierwszych dniach marca 1945 roku wyruszyłem na zachód, razem z nacierającym wojskiem polskim, by po 14 latach pracy w Tworkach nie wrócić tu już na stałe.

Kończąc garść tych wspomnień o Tworkach, dziękuję obecnej Dyrekcji Szpitala i pamiętającym jeszcze tamte czasy pracownikom, za pomoc w przypomnieniu mi niektórych szczegółów i cytowanych danych. Dziękuję zwłaszcza p. M. Hunderakowi i p. H. i J. Kossowskiemu. Tych zaś, których nazwisk nie byłem w stanie sobie przypomnieć i nie uwzględniłem ich w moich wspomnieniach — najmocniej przepraszam.

PIŚMIENICTWO

JAN GALLUS — Obecny stan szpitalnictwa psychiatrycznego i opieki nad psychicznie chorymi w Polsce. Lekarski Instytut Naukowy. Wyd. 1947 r.

— Szpital dla nerwowo i psychicznie chorych PWZS w Dziekance. Szpitalnictwo Polskie. 1948 r. T. I.

— Dziekanka w latach 1939—45 oraz jej udział i rola w wyniszczaniu umysłowo chorych Polaków. Rocznik Psychiatryczny. 1949 r. T. 37, nr 1.

— Zbrodnie niemieckie wobec umysłowo chorych w Polsce. Lekarski Instytut Naukowy. Wyd. 1949 r.

— Państwowy Szpital dla nerwowo i psychicznie chorych w Krakowie — Kobierzynie. Neurologia, Neurochirurgia. Psychiatria Polska. 1962 r. R.X.T.X. Nr 4.

— Dzieje Państwowego Szpitala dla nerwowo chorych w Krakowie — Kobierzynie. Przegląd Lekarski 1967 r. R. XXIII, Nr 9.

T. BILIKIEWICZ — J. GALLUS — Psychiatria Polska na tle dziejowym. PZWL 1962 r.r

KAZIMIERA DRESCHER — Komisja lekarska obozu przejściowego w Pruszkowie, w czasie Powstania Warszawskiego. Archiwum Historii Medycyny 1968 r. XXXI. 22.

EDMUND ŻUREK — Pruszkowski Dulag 121 — mieś. „Barwy”. 1975 r. nr 8.

EDMUND ŻUREK — Przywrócenie życia. Wyd. MON 1962 r.

Od Redakcji

Spełniając prośbę autorek Książki Pamiątkowej poświęconej Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącym im. Tomasza Zana w Pruszkowie (Przegląd Pruszkowski 1981 zeszyt 2) zamieszczamy I część wspomnień Michała Czapskiego. Spodziewamy się, że pobudzą one innych absolwentów „Starej Budy” do podzielenia się z czytelnikami tym, co pozostało w ich pamięci z tamtych lat.

MICHAŁ CZAPSKI

Wspomnienia z Gimnazjum Zana

(1930—1934¹⁾)

Uczniowie gimnazjum im. Tomasza Zana, zanim szkolnictwa średniego nie objęła reforma ministra Janusza Jędrzejewicza z 1932 roku, nosili granatowe czapki w kształcie walca, pospolicie zwane rondelka-

mi. Rondelek jednak pruszkowski nie był tym klasycznym rondelkiem, identycznym z francuskim kepi — usztywnienie nie dochodziło do samej góry i tym samym, wierzch był miękki i odpowiadał poniekąd polskiej fantazji. Koledzy dojeżdżający z Warszawy rondle nosili przepisowo. Tak paradowali: Rzymski, Nowosielski, Różański, Tepper — nikt by w tym bladym i wiotkim chłopczynie nie podejrzewał potomka możnej rodziny bankierów ostatniego naszego króla.

Dostałem się do piątej klasy akurat wtedy, gdy gimnazjum przeniosło się do nowego gmachu przy ulicy Klonowej (dziś — Daszyńskiego). Przedtem lekcje odbywały się za torem kolejowym, w Żbikówku. Jeszcze uzupełniano roboty wykończeniowe i przeprowadzano próbę na gorąco instalacji centralnego ogrzewania. Gmach gimnazjalny nie był obiektem nowowzniesionym, tylko adaptacją czynszowej kamienicy. Tym nie mniej odpowiadał w pełni potrzebom szkoły i funkcjonalnie był bez zarzutu — dwupiętrowy, podpiwniczony; o dwóch klatkach schodowych, z których wchodziło się wprost do gabinetów, biblioteki, sanitariatów i niektórych sal lekcyjnych oraz rekreacyjnych. Z tych ostatnich drzwi prowadziły do pozostałych sal lekcyjnych. Dwie z sal rekreacyjnych służyło do gimnastyki; wyposażone były w odpowiednie przyrządy jak kozły, konie, bumy, drabinki itp. W piwnicach były szatnie, stołówka, kotłownia.²

Dziwnym zbiegiem okoliczności kończono też roboty w nowozbudowanym kościele parafialnym pod wezwaniem św. Kazimierza, usytuowanym przy placu a raczej poszerzonej ulicy Komorowskiej, dokąd co niedziela zdążaliśmy czwórkami na mszę świętą. Było to jedno z ostatnich dzieł Czesława Domaniewskiego, dobiegał wtedy siedemdziesiątki; przed tamtą wojną pracował na kolei warszawsko-wiedeńskiej i jego koncepcji były budynki w obrębie kolejowych warsztatów naprawczych. Jeden z tych budynków, neogotycki, szczególnie niepokoił idących czarną drogą wzdłuż torów kolejowych. Ludziska pamiętali kościoły z ostrołukami, stawiane u progu XX wieku wszędzie na Mazowszu wg projektów Dziekońskiego, i styl oparty na motywach średniowiecznego gołyku nie kojarzył im się w żaden sposób z architekturą świecką. To też nie jeden czapkę zdejmował.

W pierwszych latach zagospodarowania nowego terenu przyszkolnego dysponowano placem o długości frontu wraz z bramą. I to nie całym, bo gimnazjum miało wspólne podwórze z budynkiem mieszkalnym stojącym przy ul. Cedrowej. Mieszkali tam, wraz z rodzinami, aktualny dyrektor Ostrowski i były dyrektor Jakubowski, szczupły wyżej średniego wzrostu ciemny szatyn z bródką. Chyba w dwa lata później dokupiono sąsiedni plac przy zbiegu ulicy Kościuszki i ul. Cedrowej. Miał on 60 m długości i przewidziany był jako boisko lekkoatletyczne i do gry w koszykówkę. Przedtem wszelkie ćwiczenia na świeżym powietrzu odbywały się w dawnym parku biskupim, bardzo blisko położonym i użytkowanym przez Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół”. W centrum parku, w pałacyku klasycystycznym odbywały się

séanse filmowe. Wtedy w Pruszkowie były dwa kinoteatry „Sokół” i „Znicz”. Ten ostatni mieścił się przy ulicy Kraszewskiego, bliżej przystanku Elektrycznych Kolei Dojazdowych, wówczas jeszcze mało zabudowanej. Patrząc na współczesne oblicze strefy przykolejowej, obrosniętej blokami i domkami jednorodinnymi, nie chce się wierzyć, że w roku 1930 stało tam jedno jedyne domostwo — drewniany, chyłący ze starości dworek. Swoją drogą, święty ogień pogański otaczali pruszkowiaczy specjalnym nimbem. Bo i robotniczy A-klasowy klub piłkarski też miał nazwę „Znicz”.

Klasy zaczynały się od czwartej. Uczęszczałem do klasy piątej „b” — w klasie piątej „a” obowiązywał język francuski, u nas niemiecki. Gimnazjum było koedukacyjne. Siedzieliśmy jednak oddzielnie, dziewczęta z prawej, chłopcy z lewej strony. Osią centralną nauczania była matematyka. Dawniej szkoła była typu matematyczno-przyrodniczego, stopniowo przekształcono ją na humanistyczną — ósma klasa była jeszcze bez łaciny. Tradycje jednak tkwiły w naukach ścisłych. Sam dyrektor był zawałanym matematykiem i uczył w ostatnich klasach. W niższych lekcje matematyki prowadził Jan Tomasik. Był to człowiek niezwykle chciwy wiedzy. Nieobca mu była teoria względności. Pierwszy raz, właśnie od niego usłyszałem o Hoene-Wrońskim i jego osiągnięciach w obszarze wiedzy ścisłej. Mało mu było uniwersytetu, nęciły go nauki stosowane, uczęszczał więc na wydział mechaniczny Politechniki Warszawskiej. Wysoki, szczupły, o sylwetce sportowca i zawsze w sportowym garniturze, u którego ciągle odpinał i zapinał guziki, myśląc się o jedną dziurkę. To też poły marynarki dziwnie względem siebie się przesuwwały.

Zdarzają się fenomenalni wykładowcy, których słucha się z zapartym tchem. Swoje niezwykle powodzenie zawdzięczają między innymi temu, że nie sygnalizują trudności, przystępując do omówienia bardziej skomplikowanych partii. Młody, świeżo upieczony magister, żywy jak iskra, nazywał się Jan Makowski. Wypełniał z werwą tablicę i obiecywał, że już teraz — w szóstej klasie — przygotowuje nas do matury. Zachowywał się jak kolega — skakał w dal i rzucał kulą. A tłumaczył! Jakże on tłumaczył... Stopniowo wszystkim nam matematyka zaczęła się wydawać najłatwiejszą z nauk. Najbardziej zatwardziali filolodzy, co to w pogardzie mieli nauki ścisłe, nie mogli się sami sobie nadziwić; „co ja zrobię z tą czwórka...”?

Wśród kolegów nie brakowało wytrawnych matematyków. Duet Świrczewski—Sztrausman (Makowski wymiawiał: Sztrauzman) nadprogramową ilością zadań wypełniali całe zeszyty. Ten ostatni „X” pisał w formie dwóch stykających się łuczków $()()$, brzuskami do siebie, symbol zaś pierwiastka zakańczył hakiem. Ostrowski Bolek, syn dyrektora radził mu, aby haczyk przeciągnął na dół — wtedy liczba podpierwiastkowa na pewno nie ucieknie...

Dyrektor Ostrowski (Leon) zwykł był mawiać, że „matematyka jest nauką dla wtajemniczonych”. Zadania i przykłady dobierał ze starych

„zadaczników”, odpowiednio zawile, lub sam je układał. Siadywał na katedrze w seledynowo-szarym garniturze, przyglądał się sceptycznie sekwensom wysnuwanym przez ucznia na tablicy, jeśli dobrze mu szło, to kiwał głową „no, tak...” Niespodziewanie zjawiał się na lekcji innego profesora, lokował się gdzieś na końcu sali, uśmiechał, wtrącał jakieś słowo. W sprawach związanych z porządkiem, wkraczał przed lekcjami w asyście Werpachowskiego, przytakującego wszystkim słowom dyrektora nieustannym „ja też, panie dyrektorze!”.

Profesor Werpachowski Mieczysław urodę miał mieszkańca słonecznej Italii. Do złudzenia przypominał słynnego lotnika włoskiego, ministra Balbo. Choć mniejszy był i chód miał zgoła odmienny. Uczył historii z podręczników C. Nanke'go. Na stałe mieszkał w Warszawie. Ze szkoły wychodził w późniejszych godzinach, zajęty popołudniami prowadzeniem sekretariatu.

Fizykiem był Jan Szudejko, uczył też przyrody. Mieszkał tak jak prefekt, ksiądz Walenty Malewski, w Brwinowie. Był to wysoki i szczupły Białorus, rzadkiej dobrocie i cierpliwości; nieustannie chorował i z trudnością wytrzymywał codzienne jazdy pociągami. Siedział na katedrze zrezygnowany i bez siły. Mimo tego, tłumaczył nam przedmiot z niezwykłą precyzją i jasnością. Dla nas, siedzących w ostatnich ławkach, wyrozumiały bardzo i życzliwy. Nadmierny szum ściszał jednym upomnieniem: „no, co tam, stare konie...” Zmarł w roku 1931. Była późna jesień i na cmentarzu brwinowskim liście szeleściły pod butami uczniów. Nad otwartą mogiłą mówił pięknie i potocznie jeden z jego dawnych kolegów gimnazjalnych, Wspominał pracę wśród ludu młodego chłopaka, pobyt w więzieniu carskim... Poprzedzającą pogrzeb msza święta żałobna ilustrowana była grą miejscowego organisty. Nikt nas nie uprzedzał, do jakich on jest zdolny kompozycji... Zaskoczenie było zupełne, gdy w najbardziej podniosłej chwili wydobył z piszczałek foxtrotta i zaraz potem zadudnił oberek. Miałem sposobność jeszcze raz go usłyszeć, w trzynaście lat później — na ślubie kuzyna mego z panną z tamtejszej parafii. Był ostatni rok wojny, dzień jasny i ciepły. Ze Stawiska szliśmy całym towarzystwem, swobodnie rozmawiając. Już po koniecznych przed ślubem formalnościach i opłaceniu księdza i organisty (naszego muzyka), wychodzimy z kancelarii parafialnej i ojciec panny młodej, wysoki, serdeczny kresowiec mówi mi: „taż panie, jak on na pogrzebie mojej matki zagrał krakowiaka, to same nogi chodziły do tańca...”

Byli profesorowie, których można by nazwać „stałymi” i byli tacy, co długo nie zagrzewali miejsca — pochłaniało ich wielkie miasto. Jednak ta „płynność kadr” nic nie miała wspólnego z osobistymi walorami nauczających i była wynikiem spraw czysto osobistych. Zmieniali się nieustannie specjaliści od języka niemieckiego i geografii. W piątej klasie królowała Frau Nutz'owa. Och! Żeby ona była do końca — świetna nauczycielka, całą duszę wkładała, aby przyswoić nam mowę Goethe'go. Niestety, odeszła w następnym roku i po niej

nudził się na katedrze apatyczny exsziertmierz, Herr Zajfert. Nauczanie traktował jako dopust boży — coś w rodzaju przelotu szarańczy. Później była pani Zofia Januszewska, nieoszaczowana kobieta! Nie potrafiła jednak nas ożywić i zmusić do większego wysiłku.

Przepastną naukę stanowiła geografia. Czegoż tam nie było — nadto geologii, fauna i flora, wiele o atmosferze, etnografii, trochę kultury materialnej, antropologii. Tę ostatnią dyscyplinę wszczepiali w szkołach średnich słuchacze ośrodka lwowskiego. W piątej klasie geografii uczył nas — krótko, ale za to intensywnie — pan Józef Mikulski, sporo czasu oświecając mutacjom ras europejskich. Nie raz zastanawiałem się, czy nie wyszedł on z w/w szkoły antropologii profesora Czekanowskiego... Po nim zmieniały się już tylko kobiety.

Jakoś na początku zimy, poprzedzany gorączkowym szukaniem dla niego miejsca, przeniósł się do naszej klasy z Gostynina George Sokorski. O złotawych włosach i cerze jak brzoskwinia, siedział cicho pochylony nad pulpitem i przewracał nosem kartki zeszytu. Niebawem dał się poznać jako biegły matematyk i autor wypracowań. W ósmej klasie pamiętam, jak wzruszająco opisał nieszczęsny los Ewy Pobratymskiej, że koleżanki miały łzy w oczach. Ale to było później. Wtedy jeszcze uczył nas polskiego tegi i gwałtowny młody profesor. Nazywał się Kaczorowski. Bardzo się z nami męczył pocił się nieustannie. To też odetchnął, gdy się skończył rok szkolny i od szóstej klasy przedmiot zaczęła prowadzić żona dyrektora gimnazjum Stanisława Ostrowska..

Literatura polska budziła bodaj najwięcej zainteresowania. Wypracowania, szczególnie domowe, były wprost wydarzeniami. Tematy wcale nie banalne — „Rozwinąć zdanie z „Pana Tadeusza”: wpadam do Soplicowa jak w centrum polszczyzny”, „Walka o czystego człowieka w powieściach Żeromskiego”. Żeromski... Dziś nowe generacje wzruszają ramionami nad urokami tego pisarza. Ale w dwudziestolecie, kiedy żyli jeszcze ludzie wychowani w atmosferze 1863 roku, miał niesłychaną ilość entuzjastów. Kochano go za „Wierną rzekę”, za „Urodę życia”. Walk powstańczych był on piewą największym. W naszej klasie Żeromskim zafascynowany był Stasiak Włodarczyk. W rodzinie jego, zamieszkałej w strefie oddziaływania puszczy karpiniowskiej, żywe były tradycje powstańcze i dlatego bliski mu był nastrój „Ech leśnych”. Nic też dziwnego, że najlepiej wychodziły mu „wypracowania z Żeromskiego” Wprawdzie dobrych polonistów było u nas nie mało. Wiele trafiało się ciekawych i prac domowych i tak zw. „klasówek”. Najcelniejszych jednak w tej konkurencji okazywali się zwykle Zosia Kalisiewiczówna i właśnie Włodarczyk... Swoją drogą, ileż znaczy swoisty wdzięk dziewczęcy, jeśli mu jeszcze towarzyszy umiar i sąd rozważny.

Stasiak do wypracowań z polskiego przygotowywał się bardzo gruntownie, przerzucając w bibliotece na Koszykowej i w antykwariatach na Świętokrzyskiej sterty książek i publikacji. Był to chłopak bardziej od nas dojrzały. Nie upajał się własnymi spostrzeżeniami, ciekawiły

go analizy i oceny wielkich w literaturze autorytetów. W nauczanie języka polskiego Ostrowska wkładała masę inwencji i pracy. Nie znosiła wypracowań szkolnych ukwieconych, pełnych słów podniosłych. „Poetów kształtuje samo życie” — mawiała. Żywo interesowała się twórczością współczesną, nie poprzestając na nauczaniu literatury usystematyzowanej w podręcznikach. Ale jakże też angażowała się uczuciowo — płakała, czytając wielką improwizację z III części „Dziadów”.

Klasą dla siebie był bardzo szczupły i bardzo nie duży Edmund Oppman. Z wykształcenia chyba ekonomista, uczył w szkole handlowej w Warszawie. U nas, jak to się współcześnie mówi, zatrudniony był „na część etatu” — prowadził w ostatniej klasie naukę o Polsce współczesnej. Raz tak się zdarzyło, że zastępował — byliśmy już wtedy w szóstej klasie — któregoś z profesorów. Mówił o rozmaitych aktualnych sprawach, lekko, swobodnie, jakby od niechcenia. O teorii gospodarczych kryzysów, o pierwiastkach romantycznych w sztuce współczesnej, najsilniej występujących w filmach awanturniczych... Był to urodzony sceptyk, zupełnie różny od zawsze pełnego entuzjazmu stryja Artura (Or-Ota). Nastawiony nie tyle na uczenie, w sensie systematycznego wbijania czegoś komuś do głowy, ile na pozornie luźną pogawędkę lub niefrasobliwą, inteligentną i błyskotliwą rozmowę towarzyską. Bardzo ciekawie mówił... Reprezentował gatunek inteligenta dziś już prawie nie występujący.

¹ Wszelkie uzupełnienia i sprostowania będą mile widziane przez autora.

² O projektancie budynku szkolnego, inżynierze Władysławie Świerczewskim pisano w Roczniku Pruszkowskim, rok 1977.



W KRĘGU HISTORII ZHP W PRUSZKOWIE



TADEUSZ JAROS

Historia godna upamiętnienia

Księga historii Pruszkowa liczy już wiele bardziej lub mniej zapisanych kart. Jedną z piękniejszych kart w tej księdze ma Związek Harcerstwa Polskiego działający w Pruszkowie.

W chwili narodzin Pruszkowa jako miasta, na jego terenie działały już pierwsze organizacje harcerskie. Wstępne ustalenia mówią, że harcerstwo w Pruszkowie powstało już w 1915 r. Udokumentowane jest natomiast, że istniało napewno w 1916 r.